DZIENNIK WARSZAWSKI

Poniedziałek 1/13 Sierpnia 1855 roku. № 212. Jutro Ś. Euzebjusza W.
Wschód słoń. o god. 4 min. 42. — Zachód o g. 7 m. 26.

WIADOMOŚCI KRAJOWE.

Główna kassa oszczędności.—W tygodniu upłynionym do d. 31 Lipca (12 Sierpnia) roku bież. włącznie, wydano książeczek nowych 47, na które, tudzież na dawniejsze w 201 wnioskach, złożono rubli sre. 3,637 kop. 65. Na żądanie 26 uczestnikom, wypłacono (prócz procentu za rok bieżący rs. 9 k. 39 ½), rub. sre. 699 kop. 5½, i umorzono książeczek oszczędności 11. Przeto uczestników 6,479 posiada kapitał rubli sreb. 163,700 kop. 5½.— Naczelnik Assesor Kolleg książe *Gedroyc.*— Buchalter *Krauze.*

— W dniu wczorajszym o godzinie 6éj z rana, w domu Nro 2774 przy ulicy Aleksandrja, w dystylarni oleju, przez właściciela tegoż domu Gliksona preperowanego, z niewiadoméj dotąd przyczyny wszczął się pożar, który nie zrządziwszy znacznych szkód, przez przybyłą straż ogniową ugaszonym został.

— Dnia 7go Lipca we wsi Kochaczynie, blisko Orszy, po dwu-tygodniowéj chorobie, przeniósł się do wieczności, przeżywszy lat przeszło 60, radca honorowy syn Karola *Zan*, niegdyś uczeń szkoły powiatowéj w Mołodecznie, gimnazjum w Mińsku, uniwersytetu w Wilnie, późniéj urzędnik przy muzeum Niepiujewa w Orenburgu, przy korpusie górniczym w Petersburgu; przy komitecie lustracji dóbr Państwa gubernji Witebskiéj. Lat temu ze dwanaście jak wrócił w rodzinne strony i w nich znalazł wszystko, co się może godzi uważać za przedwczesną nagrodę kierowanéj czystem sumieniem pracy — pojął żonę i z nią osiadł w nabytym Kochaczynie, pod własną strzechą. Gdziekolwiek był, czytelną do razu ze szlachetnego oblicza i wzniosłego czoła otwartością duszy, jednał sobie przyjaciół; rzetelnem pełnieniem przyjętych obowiązków zjednywał zaufanie zwierzchników, w téj liczbie i jenerał-gubernatora w Orenburgskim kraju hr. Alexego Perowskiego, na którego świadectwo, aż do Tronu zaniesione zasłużył, a przy wielkim zasobie wiadomości w naukach przyrodzonych, przy darze postrzegania i myślenia przez się, przy żywéj, często nawet już to w poetycznych, już to w muzycznych utworach potrzebującéj wynurzyć się na jaw imaginacji, przenikniones acznciem żywéj miary, którą i przygody życia i nabyta nauka, w nim może mocniéj niż w innych ukrzepiły, łacno pociągał ku sobie powinowate umysły. Żegnano go wszędzie zawsze z chęcią rychłego powitania na nowo; nigdy, podług pamiętnych słów Apostolskich, ani nad gniewem bliźniego przeciw niemu, ani nad gniewem jego przeciw bliźniemu, „Słońce nie zaszło.“ (*Tygodnik Peters.*)

— Tyflis, stolica prowincji zakaukazkiéj, posiadająca redagowaną dzielnie gazetę, świeżo zdobyła się na wydanie almanachu, pod nazwą »Zurna,« w którym pomiędzy mozajką utworów wielu literatów tubylców, zaszczytnie jaśnieją poezje naszego ziomka, W. hr. Sołłohuba, oraz krotochwila dramatyczna tegoż: »Noc przed weselem (przeddzień ślubu), czyli Gruzja za lat tysiąc.« Nazwisko almanachu »zurna,« w języku gruzyjskim, oznacza instrument muzyczny dęty lub całą orkiestrę tameczną.

MOZAJKA DZIENNIKARSKA.— Nowiny, jeżeli jakie są, przychodzą nam już teraz nie z Warszawy, bo w Warszawie zupełna posucha na nowości; Ciechocinek, Busk, wody niemieckie i wiejskie mieszkania zabrały nam cały nasz ruch, a my odprawiamy najzupełniejszą *siestę* i nic dziwnego, bo miesiąc gorący, trzeba wypoczywać.

Epidemja na złość wszystkim ogórko-jadom i sałatofilom, zmniejsza się powoli i wyraźnie opiece Bożéj przypisać należy, że tak jakoś tego roku łagodnie się z nami obeszła. I zaprawdę rozrzewniający jest widok, jak w tę Boską opiekę lud nasz ufa i jéj się poleca. My, ciągli mieszkańcy Warszawy, przyzwyczailiśmy się już cokolwiek do tych, przed przystrojonemi w kwiaty i oświeconemi figurami, śpiewów, które w wieczór pobożni zasyłają w niebo, modląc się o odwrócenie Bożéj plagi. Ale cudzoziemiec któryby tu chwilowo przybył, zbudowałby się zaiste na ten widok, tak dlań niezwyczajny, bo wyjąwszy w niektórych miejscach we Włoszech, gdzie ani téj serdeczności, ani téj szczeréj wiary, jak u nas, nie ma, nigdzie nie zdarzy się napotkać podobnych zebrań, nigdzie nie da się ujrzyć ludu tak pobożnego i tak ufnego w Panu. Niech więc sceptyk francuski jak chce uwłacza Najświętszéj Pannie marji Częstochowskiéj i wierze jaką krajowcy nasi do opieki Jéj przywiązują, nam dobrze jest z tą wiarą i z tą opieką, i nigdy ufności w nią nie stracimy. Byłoby jeszcze co do zarzucenia, gdyby śpiewy te i modlitwy odbywały się podczas epidemji jedynie, gdyby ci których wyrok Boży ocalił, zapomnieli wkrótce o łasce jaką Pan dla nich okazał i po przeminiętem niebezpieczeństwie nie troszczyli się już o wznowienie dziękczynnych modłów. Ale dzięki Bogu, tak nie jest. To oświetlanie figur i śpiewy nocne, weszły we zwyczaj podczas okropnéj cholery, która w roku 1852 tylu dotkliwych strat stała się u nas powodem. Od tego czasu trwają one ciągle i chociaż stan zdrowia w mieście był najzupełniéj zadawalniającym, gromadki przed figurami spełniały w wieczór dobrowolnie przyjęty na siebie obowiązek. Prawda, że podczas epidemji zgromadzenia te bywają liczniejsze, ale cóż w tem dziwnego, że bojaźń przybliża do Boga. I taki u którego w dniach szczęścia i spokojności modlitwa nie postała nawet na ustach, przechodząc teraz przed oświetloną figurą odkryje głowę, zrobi znak krzyża i pomodli się krótko a szczerze, a Bóg zawsze przyjmie tych co się do niego udają.

Zwidzaliśmy w tych dniach owe wszystkie letnie mieszkania, w których Warszawianie pod murami własnego miasta używają przyjemności wiejskich. Mokotow i Wierzbno zupełnie już podobne do małych miasteczek. Wielka moc tam mieszkań, które się z każdym rokiem pomnażają i wszystkie zajęte. W Wierzbnie amatorowie greffenbergskiéj kuracji, o których nawiasowo mówiąc, zapomnieliśmy przez pewien czas, odbywają ciągle swoje ablucje. Niepamiętam która z gazet utrzymywała niedawno, że skutkiem bojaźni epidemji, liczba tych prysznicowskich zwolenników znacznie się zmniejszyła. Ośmielamy się zaprzeczyć jak najzupełniéj temu twierdzeniu. Prawdziwy greffenbergczyk nie lęka się niczego, jego niezastraszy ani febra, ani tyfus, ani cholera, ani żadna z tych plag trapiących nędzną zwyczajną ludzkość, nie polewającą się zimną wodą i nie wciągającą jéj w siebie kilkanaście kwart na dzień. On wierzy w swój żywioł, wierzy w to, że żołądek trzeba wyprać jak zbrukaną bieliznę, że tem wypraniem odczyszcza i odświeża się on, i *de noviter repertis* służy do jak najlepszego użytku. Ci którzy nie wierzą naszym słowom, niechaj zajrzą z rana do ogrodu Saskiego, jeżeli spacer do Wierzbna uważają za zbyt daleki, a ujrzą pacjentów, z kwitnącem zdrowiem na twarzy, biegających tu i owdzie, żeby strawić większą lub mniejszą ilość wody na czczo połkniętéj. Są tacy, którzy na jedną porcję wypróżniają po osiem albo dziesięć szklanek. Dziwić się zaiste należy téj mocnéj wierze, która po największéj części szczęśliwy sprowadza skutek. Wszakże wiadomo, że wiara najlepszem jest na wszystko lekarstwem.

Willanów także ciągle w nowe rośnie ozdoby. Fontanny koło pałacu mają być przyozdobione różnemi Trytonami, Syrenami i innemi tego rodzaju metalowemi bóstwami, które na różne sposoby dla zdziwienia i zabawy patrzących, będą ze swych cynkowych piersi wody w górę wyrzucać. Kiss w Berlinie trudni się temi wszystkiemi odlewami. W Willanowie mnóstwo jest także mieszkań letnich, i żadne nie próżnuje. A że to już milka blisko od Warszawy, że tam nie tak łatwo jak do Mokotowa lub Wierzbna sprowadzać sobie wiktuały, Willanów zaopatrzony został w różnego rodzaju przemysłowców, którzy ku wygodzie gości, sprzedają im po podwójnéj cenie różne przybory do życia potrzebne. Dla dania wyobrażenia o wysokości niektórych cen tamecznych, muszę przytoczyć że kurczę jedno kosztuje tam na miejscu 75 kopiejek!!! Zaiste bajeczna cena, zwłaszcza na wsi. Ale wiadoma rzecz, że każdy włościanin woli stokroć z produktem swoim iść do miasta, niźli zbyć go zaraz na miejscu, chociażby nawet po droższéj cenie. Mówiono nam także, że kościołek tameczny ma być wyrestaurowany i otoczony nowym murem. Radzibyśmy to widzieli, bo opadłe z tynku jego ściany nie zupełnie kwadrują ze wszystkiemi upięknieniami w pałacu i ogrodzie.

Co do ruchu literackiego i artystycznego w mieście naszém nie wiele wam mamy do doniesienia. W teatrze mieliśmy kilka nowych sztuczek z pomiędzy których zalecamy czytelnikom Nowy Mizantrop i druciarz, komedyjkę wesołą i udatną w całem znaczeniu tego wyrazu. Książek nie wiele się pokazało, więcéj zapowiadają, ale rzeczą nader pocieszającą i wskazującą ciągłe podnoszenie się u nas literatury jest to, że księgarze niezamykają się już w sklepach swoich na potrójne rygle przed literatami, z bojaźni, ażeby ciż nie przyszli, im manuskrypta sprzedawać. Owszem, księgarze teraz dopominają się sami o rękopisma i objawia się już u nas pewien rodzaj konkurencji. Nie mówimy już nawet o autorach znanych i ulubionych, których dzieła zawsze pieniężnie popłacały, chociaż zawsze niżéj od rzeczywistéj ich wartości, ale autorowie *minorum gentium* młodzi, początkujący dopiero pisarze, nie tylko że znajdują wydawców na swoje nie zalecające się jeszcze znanem nazwiskiem utwory, ale są za nie *płatni*. Tak jest, przemija już zwolna epoka, w któréj literat jako *glebae adscriptus*, musiał dla pierwszego lepszego przemysłowca oddawać swoją pracę i talet, za marne kilka rubli, a czasem nawet za ten jedynie zaszczyt, iż dzieło jego było drukowane. Wiemy już o poematach, które po kilka, a nawet kilkanaście tysięcy płacą, najwięcéj podług téj materjalnéj wartości ceniony jest Pol, po nim idzie Syrokomla, który nawiasem mówiąc, bardzo wiele wydaje w tych czaaach i zaprzecza faktem upowszechnionéj opinji, iż człowiek z talentem, a mianowicie poeta, powinien być z konieczności leniwym. Ten ostatni puszcza się także na próby dramatyczne, już jedna z nich wyszła z druku, a zapowiada drugie, sam nawet oświadcza, iż czuje w sobie pewien rodzaj powołania do komedji. Daj Boże, życzymy tego jemu sobie z całego serca. Nam dramatycznych pisarzy bardzo potrzeba, bo nam ich brak, ci zaś którzy są, bardzo się rzadko odzywają, a Syrokomla wszystko co robi, zwykł robić dobrze. Mohorta Pola pierwsze wydanie już wyczerpano, Pruszakowa pisze poemat pod tytułem »Sebastjan Klonowicz.« Prusinowski wydaje poezje w dwóch tomach, Alexander Groza drukuje także swoje poezje po różnych pismach ogłoszane Księgarz Wolf w Petersburgu spodziewany jest w Warszawie, nie wątpimy, że jego przybycie ruch większy obudzi, przywykliśmy do tego, że Wolf przywozi nam różne nowości, jeżeli nie nowości już dokonane, to przynajmniéj pomysły nowe. Dziwić się zaiste wypada jak ten człowiek starczy na tyle różnorodnych i tak kosztownych nakładów. A i u nas mamy parę nowych księgarni, pomiędzy niemi pana Drwalewskiego na Krakow.-Przed. Słyszeliśmy także, iż ktoś ma zamiar założyć tu gabinet czytania na wzór zagranicznych, bardzo dobry to pomysł i może się wybornie u nas przyjąć, jako nowość i jako nowość użyteczna.

— W dniu wczorajszym zachorowało na cholerę osób 40, wyzdrowiało 45, umarło 18, pozostaje chorych 160.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE.

ANGLJA.

Londyn 7 Sierpnia. Jego Kr. Mość Król portugalski w towarzystwie swego brata księcia Oporto, przybył wczoraj z rana do Porsmouth i udał się do Królowej do Osborne, gdzie kilka dni zamierza zabawić.

— Nowa Codzienna Gazeta *Daily Telegraph and Courier*, która przez niejaki czas trzymała się w niepewnej roli, obecnie wystąpiła stanowczo i wyraźnie pod chorągwią pokoju. (*Neue Pr. Ztg*).

— Prywatny korrespondent *Timesa* z Krymu, pisze między innemi co następnje:

Kamara 24 Lipca.

Z tylnéj straży—albowiem od czasu jak wszelką myśl posunięcia się naprzód z téj strony porzucono, tworzemy znowu tylną straż—nic tu nie ma nowego, wyjąwszy, że nieco lekkiéj jazdy angielskiéj wysłano na dolinę Baidar.

Zdaje się, że letnie skwary krymskie, których tu z taką trwogą każdy oczekiwał, nareszcie się zaczęły, przed kilku dniami mieliśmy tu 29 stopni ciepła w cieniu, pomimo wszelkich starań, by ciąg powietrza urządzić i w ten sposób złagodzić skwar słoneczny. Jak zwykle w gorących klimatach, ranki do godziny 11 są najprzykrzejsze; po południu wiatr od morza się zrywa i łagodzi nieco gorąco temperatury. Noc prawie nie przynosi ulgi, z wyjątkiem nagłego zimna, towarzyszącego wschodowi i zachodowi słońca a które termometr zniża w kilka minut o 8 do 10 stopni; z wyjątkiem tego mała zachodzi różnica pomiędzy dniem i nocą. Skutkiem tego jest prawie nieprzerwana

łaźnia ruska, z bardzo umiarkowaną porcją wody dla *duszy* przypadkowéj. Mamy wprawdzie przed sobą całe morze, ale zejście ku niemu i dostanie się na górę po skałach więcéj jak równoważy wszelką korzyść, jaką ztąd miećby można. Zródła i studnie w sąsiedztwie są bardzo skąpe, bacząc na liczbę ludzi, którzy pragną od nich zasiłku. Obleganemi są one od rana do nocy ściśléj jak Sewastopol i w daleko większem jak on niebezpieczeństwie że zostaną zmożonemi, albowiem oprócz Turków, liczne francuzkie lub sardyńskie kompanje robocze, wycinające krzaki na gabiony i faszyny, pokrzepiają się przy nich, idąc tam i na powrót. (*Times*)

C H I N Y.

— Ostatnia poczta lądowa z Hong-Kong przywiozła nam znowu nareszcie wiadomości o powstańcach na północy, o których od dawna bardzo nie słyszeliśmy. Pekińska gazeta dworska z dnia 21 września donosi, że stolica prowincji Hupi-Wutszang przy ujściu rzeki Ham do Jangcekiang, została znowu zdobytą przez powstańców (to już po trzeci raz). To miasto na prawym brzegu Jangsekiang, tworzy z położonem na prawym brzegu téj rzeki miastem Hayang rzeczywiście jedno wielkie bardzo ludne miasto, które handlujący w tych okolicach zwykle Hankin nazywają. Gubernator prowincji Hupi poległ tym razem w walce, a wice-król Yangpeih, który przeżył upadek miasta, dla tego tylko uniknął kary, ponieważ jak mówi postanowienie cesarskie, rząd potrzebuje teraz dzielnych mężów do obrony prowincji położonych na północ od Jangcekiang. Odebrano mu tytuł, ale pozostawiono dowództwo aby mu dać sposobność wynagrodzenia ostatniego błędu. Dowódca powstańców Lim, który w swoim czasie przeszło półtora roku władał w Szangai, zatknął teraz swoje chorągwie w Tangpo, o 60 mil na północ od sławnego ze swoich rękodzielni miasta Sutszan. W okolicy Fuczau zaszły bardzo groźne powstania.

Powstańcy na południu w prowincji Kwang-tung, którzy ponieśli w ostatnich czasach nie jedną porażkę, w ostatnim tygodniu byli nieco szczęśliwszemi. Od czasu jak powstanie rozszerzyło się bardziej ku stronie północnej prowincji Kantonu i zamknięcie samego miasta Kanton, od strony morza i lądu ustało, zaufanie zaczyna w niem powracać. Handel na nowo się odżywił, dowozy ryżu były znaczniejsze i liczba żebraków na ulicach zmniejszyła się.

(*Neue Preussische Zeitung*).

F R A N C J A.

Paryż 7 Sierpnia. Zdaje się, że Cesarzowa z powodu względów na stan zdrowia, będzie musiała wstrzymać się od udziału w zabawach jakie dane będą dla królowej Wiktorji. Wstrzymamy się jednakże ze stanowczem oświadczeniem względem przyczyn jakim tu przypisują ostrożności o których mowa.

— Cesarz sam wybierał obrazy które mają zdobić rezydencję królowej Wiktorji i księcia Alberta.

— Abd-el-Kader otrzymał pozwolenie przybycia do Francji w czasie pobytu w Paryżu Królowej angielskiej.

Książe Adalbert bawarski przejeżdżał przedwczoraj przez Tours a wczoraj przez Blois; mniemają że przybędzie do Paryża.

— Pod względem spekulacji zmiana dni w których opłata na wystawie wynosiło 4 sous okazała się bardzo trafną. Przedwczoraj była niezmierna massa wizytujących. Całe mieszczaństwo paryskie które ma tylko niedzielę wolną do wyjścia, zgromadziło się w pałacu przemysłu. Weszło przeszło 40,000 ludzi po 1 fr., jest to największy dochód jaki dotychczas zebrano w jednym dniu w gmachu wystawy.

Wczoraj było tak wielu zwidzających jak zwykle w dniu 4 soldowe, tylko że robotnicy przyszli w ubraniu codziennem, w bluzach i czapkach. Pociągi specjalne przywiozły wielkie massy ludzi. Sala główna i annex tak były natłoczone, że niepodobna było pomieścić się. Co do sali panoramy nie można było dostać się do niej; liczba osób chcących zobaczyć djamenty korony była tak wielka, że wielu czekało po dwie godzin za drzwiami nim się zdołali docisnąć.

Im bardziej zbliża się przybycie królowej Wiktorji, tem liczniej zjeżdżają się ze wszystkich stron Anglicy, tak, że można powiedzieć teraz o Paryżu to co w zeszłym wieku powiedział jeden podróżnik o Londynie: Jest to miasto w którem jest zanadto wielu Anglików. Londyn dziś nie jest już ani w Hydeparku ani w Regent-street, Belgrave-square, ani w Greenwich, ale w Tuilleries, na bulwarach i na polach elizejskich.

— Zapewniają tu zupełnie stanowczo, że jeden z ministrów zagranicznych przy dworze francuskim, został upoważniony do doniesienia swemu rządowi, iż Cesarzowa Eugenja znajduje się w błogosławionym stanie, co też ten minister uczynił drogą telagraficzną. To zapewnie jest powodem pogłosek, że Cesarzowa bardzo mało mieć będzie udziału w uroczystościach mających być wyprawionemi dla królowej Wiktorji.

— Mehmed-Dżemi-bej, ambasador turecki przy dworze francuckim, a syn Reszyda-paszy, przybył do Paryża wczoraj, 6 sierpnia. (*Indep. Belge*).

H I S Z P A N J A.

Madryt 3 Sierpnia.

— Rząd wydał rozkaz zatrzymania w drodze dwóchset robotników których jako winnych ostatniego powstania w Barcelonie, miano wywieść do Kuby i tam wcielić do wojska. Będą oni jeszcze raz sądzeni w zwyczajnej drodze sądów cywilnych i rozesłani do różnych punktów Hiszpanji gdzie pobyt ich byłby nie tak niebezpieczny jak w Barcelonie.

— Książę Vitorji wyjechał wczoraj wieczorem do Eskurjalu; jego zdrowie ciągle osłabione, nie pozwalało mu dotychczas odwiedzić rezydencję Jéj K. Mości.

— Rząd zaczyna niepokoić się na serjo skalą, na jaką odbywa się emigracja z Galicji. Jeśli nie będzie można użyć zaradczych środków i to bardzo prędko, prowincja ta wkrótce zostanie zupełnie wyludnioną; mieszkańcy jéj udają się do Portugalji i stamtąd wysyłani są do osad Ameryki południowéj.

Wiadomości z prowincji są ciągle bardzo niepomyślne. Cholera czyni okropne spustoszenia i szerzy się kolejno po wszystkich punktach Hiszpanji dotychczas oszczędzonych.

Nie ma żadnych wiadomości o Karlistach, którzy na teraz, jak się zdaje, przedsięwzięli wszelkie potrzebne ostrożności, aby uniknąć spotkania z wojskiem rządowem, które dla poprzednich band było tak niepomyślnem. Zapewniają, że Cabrera znajduje się w dolinie Andorry. Listy znalezione w bagażach Marsala przekonały rząd nasz o udziale, jaki dwór neapolitański bierze we wszystkiem co może dopomódz do tryumfu sprawy Karlistowskiéj. Zdaje się że bardzo znaczne sumy przysłane zostaną z Neapolu do Katalonji, dla ułatwienia powszechnego powstania.

(*Independance Belge*).

Madryt 6 sierpnia. Reorganizacja gwardji narodowéj w Barcelonie, odbyła się jak najspokojniéj. Według wykazów urzędowych, dług w zawieszeniu będący, wynosił w dniu 1 sierpnia 600 miljonów.

(*Neue Preussische Zeitung*).

WIADOMOSCI Z WSCHODU.

Konstantynopol 12 Lipca. Na żądanie jenerała Vivian naczelnego wodza kontyngensu tureckiego, jenerał brygady Hussein-pasza został przykomenderowany do tego korpusu składającego się obecnie z 9,000 ludzi piechoty, 600 jazdy i 4 baterji, do których przybyć ma jeszcze jedna oczekiwana wkrótce z Anglji. Rząd angielski ma także dostawić do tego korpusu 80 podoficerów z których już 19 przybyło do Konstantynopola.

Pułkownicy J. G. Neuil z pierwszego pułku Madras i S. J. Stevens z armji Bombaju, mianowani zostali jenerałami dywizji w tym kontyngensie.

— Piszą z Konstantynopola do *Zeit*, że baszy-buzukowie nie przestają dopuszczać się największych nieporządków. I tak w dniu 6 lipca 200 z pomiędzy nich napadło na wiejski domek jenerała Beatson w bliskości Dardanel, aby go zmusić do podpisania rozkazu wypuszczenia na wolność jednego z ich podoficerów, znajdującego się w więzieniu. Jenerał musiał ustąpić ich groźbom, ale niezadowoleni z tego ustąpienia chcieli jeszcze wymódz na nim wypłatę żołdu który im się według ich twierdzenia należał. Tu już jenerał oparł się z największą energją, czem rozjuszeni zniszczyli jego namioty, zdeptali nogami chorągiew angielską, podarli kilka innych powiewających w obozie i popełnili wszelkiego rodzaju nadużycia. Następnie przebiegali ulice miasta z dzikiemi krzykami, obdzierając wszystkich przechodzących.

— Piszą z Konstantynopola do *Gazety Kolońskiej* pod datą 12 lipca, że niesłychane upały paraliżują wszelkie siły. Wbrew temu wszystkiemu co piszą korespondenci z Sebastopola, straszliwa zaraza sroży się z taką samą gwałtownością jak poprzednio. Tysiąc łóżek szpitala sardyńskiego w Jenikoj są zapełnione, ale najdziwniejszem jest że symptomy djarji i wymiotów objawiły się nawet u zwierząt.

— Piszą z Krymu do *Morning Advertiser*:

Ostrożności przeciw szpiegom są bardzo ścisłe i byłoby to dobre, gdyby zbytek gorliwości nie był często za daleko posunięty. Zandarmi francuscy co chwila aresztują Anglików przybywających w odwidziny. Wczoraj naprzykład aresztowano i zaprowadzono do jenerała Pellisier kapitana 1 dywizji piechoty angielskiej, który dopiero za poręczeniem jednego znanego kupca z Kamiesz został wypuszczony. Ale żandarmi nie stanowią największej z naszych niedogodności. W Kamiesz, tak przynajmniej mówią, tylu jest szpiegów policji francuskiej, że kupcy boją się usta otworzyć przed kimkolwiek nieznajomym. Nie zobaczysz tak żadnej gazety i nie usłyszysz ani jednego słowa o polityce. Nawet o codziennych wypadkach wojennych mówi się po cichu i to między zaufanemi przyjaciołmi.

Naprzykład o zamachu na życie Ludwika Napoleona dowiedziano się dopiero w Kamiesz w siedm tygodni po fakcie, a i wtedy jeszcze nikt nie odważyłby się mówić o nim publicznie, do dziś nawet władze tutejsze utrzymują, że żadnego takiego zamachu nie było. Co do żołnierzy francuskich, są oni utrzymywani w najzupełniejszéj niewiadomości o wszystkiem co się dzieje w ich kraju rodzinnym.

Barbarzyńska kara dyscypliny (kota o dziewięciu ogonach), kara niegodna narodu ucywilizowanego jakim jest Anglja, używaną teraz bywa na Turków. Parę dni temu trzéj mulnicy tureccy używani w służbie transportów, przekonani zostali że pozwolili sobie zjeść trzy chleby, będące własnością komisorjatu. Tłómaczyli się oni że ich głód do tego skusił, ale to usprawiedliwienie nic nie pomogło i zostali skazani na dwadzieścia cztery plag każdy. Jeden z nich zapewnie mniéj silnego zdrowia, umarł z tego.

— Piszą z Paryża do *Neue Preussische Zeitung*, że od oficerów francuskich w Krymie zażądano słowa honoru, że nie będą donosili rodzinom i przyjaciołom swoim we Francji o stratach armji wschodniéj.

— Ostatnie depesze otrzymane w Marsylji donoszą: Książe Newcastle przybył do Konstantynopola w d. 15 lipca. — Pasza Trebizondy wyruszył z 10,000 nieregularnego żołnierza w pomoc garnizonowi w Erzerum, ale artylerji jego zbywało na koniach. Armja rossyjska znajduje się o trzy stacje drogi od zagrożonego miasta. — W tych dniach przechodziły pod Konstantynopolem szalupy kanońjerskie angielskie, przeznaczone do operacji na morzu Azowskiem, Martwem, a nawet na Donie.

— Gazeta *Le Nord* zawiera w numerze z dnia 24 lipca długi artykuł rozumowany o wojnie wschodniéj, z którego przytaczamy tu niektóre ustępy:

Wiadomo że w chwili spełnienia zamachu 2 grudnia, lord John Russell i lord Palmerston znajdowali się u steru rządu i że ten ostatni zmuszony został przez głos opińji publicznéj usunąć się z gabinetu za to, że przyklasnął jawnie owemu napoleońskiemu zamachowi, nie naradziwszy się o tem poprzednio ze swemi kolegami. Zdaje się jednak, że musiał usprawiedliwić się dostatecznie przed kolegami, ponieważ wkrótce potem wszedł znowu do składu gabinetu. Usprawiedliwienia te pozostały dla publiczności w tajemnicy, ale późniejsze wypadki stanowią dokładny klucz téj zagadki.

Przywrócenie systemu rządu, który miał ożywić we Francji tak świetne wspomnienia i rozniecić nie wygasłe jeszcze zarzewie, zmusiło polityków angielskich do zaopatrzenia się w środki mogące skutecznie odwrócić od Anglji niebezpieczeństwa, jakiemi jéj podobny porządek rzeczy zagrażał. To niebezpieczeństwo stawało się z każdym dniem prawdopodobniejszem, przez obecność wspaniałéj floty francuskiéj w Cherbourg, przez zaniechany późniéj projekt lińji transatlantyckiéj któréj portem miał byé Cherbourg, i nakoniec przez gwałtowność prasy angielskiéj.

Szukano konduktora przeciw piorunom od strony Francji i znaleziono go w przymierzu francuskiem i wojnie wschodniéj, a wynalazcą tego obojga był lord Palmerston. Wojna wschodnia przedstawiała szanse długiéj trwałości, na długo zatem niebezpieczeństwo zostało odwrócone od brzegów Anglji. Jak tylko powzięto tę myśl, pierwszy *Times*, któremu nie zbywa na węchu politycznym, zmienił ton i z najgwałtowniejszych ataków przeszedł do exaltowanych kadzideł dla Cesarza Francuzów.

Oprócz sprawy patrjotycznéj, lord Palmerston widział jeszcze w wojnie wschodniéj spełnienie swego dawnego postanowienia, osłabienia potęgi Rossji. Szukał on dawno sposobności starcia z tem mocarstwem i pierwszym krokiem w tym celu było posłanie na Dardanele okrętów angielskich pod pozorem burzy, w czasie sprawy *Pacifico*.

Przyznać trzeba, że w początkach nowego Cesarstwa we Francji, łudzono się dziwnie w Europie względem trwałości tego systemu i polityki jaką on zaprowadził. Czekać, zyskać na czasie, było wtedy główną zasadą, ten system przyjęli członkowie gabinetu, nie wyjąwszy lorda J. Russell.

Sam tylko lord Palmerston nie robił sobie w tym punkcie żadnego złudzenia; on tylko wiedział do czego dąży. Ale przy długiem trwaniu wojny i położenia jakie ona sprowadziła, nadeszły trudności, odczarowania, obawy. Ujrzano że się zadaleko posunięto i nierozważnie związano. Więc rzucono się na los i przypadek w przedsięwzięciu, które co chwila przybierało groźniejsze wymiary.

Przyszło do przesilenia ministerjalnego. Lord Palmerston, twórca rzeczywisty dzieła które wszelkiemi siłami popierał, nie mógł pozwolić mu upaść. Lord Russell wyświadczył w tym wypadku niezmierną przysługę temu, który tak dawno był jego rywalem i którego politykę zawsze potępiał. Lord John miał przed sobą najpiękniejsze pole dla męża stanu; wznosząc się do wysokości położenia, mógł on przy pomocy swojéj potężnéj wymowy uczynić dla pokoju i w interesie swego kraju to, co pozwoliła nawet pomódz uczynić swemu rywalowi na korzyść wojny i ze szkodą uroku i chwały Anglji. Oświadczył on że jedynym sposobem wyprowadzenia Anglji z trudności wywołanych przez wojnę, jest prowadzić tę wojnę do ostatniego i poruczyć to dzieło jedynemu człowiekowi który je może dobrze doprowadzić do celu, to jest lordowi Palmerston. Ten ostatni byłby wolał ministerstwo spraw zagranicznych, ale należało uczynić niejakie ustąpienia dla Austrji, która nie mogła zapomnić, że ten sam mąż stanu w roku 1848 myślał o jéj zgubie.

Lord John Russell wysłany do Wiednia przekonał się o pojednawczych uczuciach gabinetu petersburgskiego i powrócił do Londynu nawrócony i przekonany, że można zawrzéć pokój bez niesławy dla Anglji, że zatem dalsze prowadzenie wojny byłoby niesprawiedliwe i nieużyteczne.

Ale zdanie jego nie zostało przyjęte. Dziś już nie ulega wątpliwości, że lord Palmerston opuszczony przez wszystkich pierwszych swoich kolegów, zdradzony przez ostatniego który mu pozostał wiernym, już odtąd sam jeden jest za prowadzeniem daléj téj zabójczéj wojny, którą od dnia 2 grudnia miał na celu. Sam przeciw najznakomitszym mężom swego kraju, przeciw politykom stałego lądu, nakoniec przeciw życzeniom i opinji publicznéj prawie całéj Europy — a to dla oszczędzenia swemu krajowi niebezpieczeństwa mniéj rzeczywistego i bardziéj problematycznego, wojny z Francją, i dla spełnienia osobistych i ambitnych swoich widoków, których celem jest zaprowadzenie szeregu nieprzerwanego stacji angielskich od Gibraltaru aż do Indji.

Otóż to rzeczywiście dla tego dzieła ambitnego Europa wezwaną jest przez rozmaite zręczne kombinacje podstępnych oświadczeń i pompatycznych rozpraw, poświęcać od samego początku téj wojny, swoją niezawisłość i przyszłe swobody, swoje drogie skarby i najlepszą krew swoją.

— Według doniesień z Trebizondy 9 lipca, otrzymanych w Konstantynopolu, korweta francuska miała się rozbić na wodach Anapy.

— Piszą z Konstantynopola, że nieporozumienie powstałe w przedmiocie kanału międzymorza Suez, zostało załatwione w duchu pomyślnym dla Francji.

— *Zeit* ogłasza następującą depeszę telegraficzną: *Tryest 25 Lipca*. Według wiadomości z Konstantynopola 10 lipca, otrzymanych parostatkiem z Lewantu. Rossjanie mają być już tylko o 27 godzin drogi od Erzerum i mieli wysłać do niewoli 600 ludzi jazdy tureckiéj, wraz z ich dowódcą. *(J. de St. Pet).*

LISTY Z POD ZASŁAWIA.

V.

(Dokończenie.)

Oto dziad mój Józef, ożenił się po trzykroć. Ojciec mój był synem jedynym z pierwszego związku, a świat powitał dnia 4 Lipca 1757 roku w domu rodzonego wuja, o milę od miasta Równego. Mogę wam pokazać zachowany dotąd między dawnemi papierami, list mojéj babki Antoniny, na dni kilka przed tą datą pisany do męża, gdzie tłumaczy się niemożnością powrotu z tych nawidzin familijnych do domu, a to dla spodziewanego wkrótce stanu macierzyństwa. W tym liście odbija się szczególniéj dziwne dziś połączenie głębokiego uszanowania z miłością małżeńską. Poczyna od tych wyrazów: *Wielmożny sercem najukochańszy Juziu dobrodzieju*. W krótce po tym liście jak powiadam, Bóg dał jéj syna. To dziecie, nie poznało prawie uśmiechu matki, bo w czwartym tygodniu życia, ojciec mój został sierotą; a *Wielmożny Juzio* kwapił się o pociechę w żalach po najlepszéj żonie i nim syn jego mógł twarze rozeznać, już go tuliły obce pieszczoty, w prawdzie najpoczciwszéj macochy. Gdy mówić począł, tajono przed nim sieroctwo. Do utrzymania tajemnicy, dopomogła równa miłość przybranéj matki tak dla małego pasierba, jak dla dwóch potem przybyłych na świat jéj córek. Później, fraszka, dziecinny wypadek, objawił pasierbowi prawdę, i wpłynął na los jego życia. Z ojcem moim, wychowywał się brat jego stryjeczny Ignaś, o dwa lata młodszy, oba w domu mego dziada brali początkowe nauki u jednego dyrektora, jak wówczas domowy zwał się nauczyciel. Raz w ogrodzie, wśród igraszek, wszczęła się między malcami zwada o gruszkę. Starszy mój ojciec miał w ręku wachlarzyk z kości słoniowéj, misternie wyszywany. Uderzył nim Ignasia po ramieniu, za wydarcie gruszki, a miazgi z wachlarzyka prysnęły na ziemię.

— Będziesz tobie za wachlarzyk od twojéj macochy!

— Od jakiéj macochy?

— Od twojéj; bo ciebie zwodzą, ty matki nie masz, a ja mam.

— Dziewięcioletni mój ojciec, zapomina o wydartéj gruszce; w biega do pokoju i zgłośnym płaczem woła:

— To ja nie mam tu matki! A gdzież moja prawdziwa matka!

— Rozrzewnił lament jedynaka, lament sieroty, Dziad mój tuląc go do serca, przyznał smutną prawdę. Ale nadaremnie pocieszał się tą myślą że tytuł macochy, nie zachwieje uczuć wrażanych w malcu ciągłą od kolebki przychylnością; dobra macocha, daremnie odtąd łożyła starania, zabiegi i pieszczoty. Od owéj chwili zawsze smutny, wyrywał się z jéj objęć, a często błagał, często całował kolana ojcowskie, aby go do szkół już oddać. Jakoż zawieziono go do konwiktu księży Pijarów Lubieszowskich. Może być że dotychczas dotrwał tam gdzieś portret mego ojca z lat jego młodzieńczych, mówił mi bowiem, że był tam prefektem Sodalisow, że zwykle wizerunki prefektów téj kongregacji zdejmowano, i te wisiały dla pamiątki po kurytarzach kolegium. Uważam że nie wiecie co to jest? Oto i ja miałem zaszczyt być obranym przez szkołę Pijarów Międzyrzeckich na dostojność takiego prefekta. Było to szkolne towarzystwo uświęcone przysięgą w kościele. Każdy Sodalis, wielbiciel imienia N. Marji Panny, obowiązywał się bronić jéj sławy, choćby z narażeniem życia. Pokażę wam drukowany mój patent, który otrzymałem przy wejściu do towarzystwa, podpisany przez owoczesnego prefekta, czcigodnego ś. p. Jakóba Ciechońskiego, przyjaciela mego od szkół do grobu. Gdym na starość, tu w jego sąsiedztwie zamieszkał, on tym patentem gdzie ujrzał swój podpis, nacieszyć się nie mógł, i w rozrzewnieniu nad ubiegłą młodością, pokazywał go obecnéj tu żonie i dzieciom swoim. Och! drogież to sercu wspomnienie! Zgasł nam za wcześnie Beranger Wołyński. Jego prawość, nauka i dowcip, zaprawne słodyczą w towarzyskiem pożyciu, wiekują pomiędzy nami nad jego zakres śmiertelny. Jak czara wypróżniona z balsamu, tchnie wonią czas długi, tak pełna imienia jego okolica nasza, nie przestanie z chlubą go wspominać. On był jakoby cechą tegoczesnego wykształcenia, był w obywatelstwie znamieniem wszelkiéj wyższości umysłowéj wszelkich moralnych zalet podnoszących godność człeka. Pokój tobie, w dowcipnym żarcie pogromco zdrożności! Pokój tobie dośmiertny hołdowniku cnoty!

Przebaczcie temu zboczeniu, wracam do mojego ojca. Wyraz macocha, wyrodził w nim nie zwalczony wstręt do domu. Otwarcie nie rad przyjeżdżał ze szkół na święta i na wakacje. Tu przypomina mi się zdarzenie z roku 1769. Nierozważna partja konfederatów, szukała zemsty na posłach za elekcję króla, co już pięć lat panował, i tak owe głoszono groźby, że pan poseł musiał tułać się za domem. Wówczas ojciec mój dwunastoletni, przybywszy na wakacje, zastał dwór pustką. Otóż jeden z poczciwych włościan, przez przychylność dla dziedzica, wziął go był pod czujną opiekę. Przebrał panicza w odzież chłopca wiejskiego, i z pod oka swego na krok nie wypuszczał. Ta dobroć wieśniaka, utkwiła w pamięci ojca mego na jego wiek cały. Po skończonych naukach, wiadomość prawnéj rutyny była wówczas konieczną, bo dopełniała tytuł użytecznego na przyszłość obywatela. A więc najchętniéj, unikając domu, attentował czas jakiś przy Łuckiéj palestrze. Nakoniec, przez wpływy krewnych, wyjednawszy sobie u ojca który już po raz trzeci ożenił się był, przyzwoity na owe czasy kapitalik, puścił się w Województwo Bracławskie, o mil kilkadziesiąt od rodziny, i tam na dzierżawie począł gospodarzyć. Zmarła nie dawno stuletnia wdowa po chorążym niegdyś artylerji koronnéj, co młodość swoję w Bracławskiem przeżyła; a tu później zacna sąsiada moja, rada była opowiadać mi, jak ojciec mój z owéj daty lat młodszych, głośnym był w okolicy z przyzwoitéj zdatności w towarzystwie dam. Jak mu zaś do nich przystęp ułatwiało wynurzanie śmiałe affektów, wypadek następny, a stanowszy na resztę życia, a o którym z własnych ust jego słyszałem, najlepszym będzie dowodem.

O dwie mile od dzierżawy mego ojca, mieszkał pan Skarbnik Latyczowski, co pilnie skarbił posażek dla jedynéj córki Józefy, już wówczas wydanéj za swojego Hilarka dziada pana Wojciecha Stolnikowicza. Ależ w domu Skarbnika, bawiła synowica jego, Cześnikówna Trembowelska, panna Ludwika któréj ojciec mieszkający ciągle we Lwowie, owdowiawszy, odebrał ją był z klasztoru panien Sakramentek po skończonem tam jéj wychowaniu, i odwiózł do swojego brata w Bracławskie, pod bogobojne czuwanie jéj stryjenki pani Skarbnikowéj. Umieścił ją tam tem chętniéj, że rokiem wprzódy, bawiąca w tymże domu starsza jego córka Wiktorja, już była wyszła zamąż za pana Antoniego Stolnikowicza, co był rodzonym bratem Wojciecha. Tak więc dwie stryjeczne siostry, były już żonami dwóch rodzonych braci, co nie daleko od państwa Skarbnikostwa, za ich wpływem i pomocą trudnili się gospodarstwem, każdy z nich osobno, na ukraińskich dzierżawach.

Dla panny Ludwiki, wymkniętéj świeżo z klauzury klasztornéj, przebywanie u stryja, wolne po rodzinnych domach odetchnienie powietrzem ukrainy, rajem się wydało. Skromna, przystojna panienka, i uprzejmość jéj stryjowstwa, ściągały częste nawiedziny sąsiadów. W dniu zaś imienin pani Skarbnikowéj, w Lipcu na św Annę, gdy Bóg dał im cieszyć się już chlebem z nowego żniwa, liczne bywały zjazdy, tańce i kielichowa, lecz zawsze z pewną powagą hulanka.

Myślał już od pół roku o pannie Ludwice, nieśmiały pan Stanisław Podstolic, wielki przyjaciel mojego ojca, i jemu tylko powierzył ten pociąg serdeczny. Bywał on tam dość często, lecz zawsze posępny, zawsze zadumany, poważnie stosował się we wszystkiem woli skarbnika, aby otrzymać wzgląd jego i łaskę, a nigdy nie odważył się badać serca jego synowicy. Zjeżdżali się tam niekiedy z ojcem swoim, a tak bijąca była sprzeczność w ich układzie i temperamentach, że nikt by nie odgadł ścisłych pomiędzy nimi stosunków. Ojciec mój znany już dobrze całéj tej familji, wesół jak wszędzie, wcale nie powściągał się w krotofilnéj żywości przez wzgląd na powagę domu; bawił całe ich towarzystwo, lub też im grywał na skrzypcach, w czem talent ujmującéj przyjemności aż do siwego włosa dochował. Skoro zaś przy nim, nadjechały tam jakie matrony z córkami i jeszcze kto z mężczyzn, pan Chorążyc Wołyński pierwszym był przewódcą do rozmaitych igraszek wieczornych, bądź w lisa, bądź w pierścionek, bądź w mruczka. Dla każdéj bez różnicy grzeczny, upragniony był tam gościem dla młodych i poważnych wiekiem. Dzielił zabawy w zupełnéj swobodzie serca; żadna bowiem z sąsiednich panien jeszcze go nie zajęła na serjo, a oczekiwał tylko na doroczny tam balik aby się wyhasać.

Roku 1783, w dniu imienin pani Stolnikowéj, zebrało się licznieje niż zwyczaj towarzystwo życzliwych. Wieczorem, gdy wszystkich objęło przyspieszone życie; gdy senaci gwarzą tu i owdzie grupami po komnatach z kielichami w ręku, jedni o żniwach drudzy o myślistwie i koniach, a inni, nie bardzo radzi nowościom, wychwalają pod nieba czasy Augustów, gdy dla głów podchmielonych, lubo w tak rozmaitym duchu, powszechna przy hucznych pląsach i żydowskiéj kapeli wrzawa, najmilszą wydaje się harmonją, ojciec mój dostrzega w dużéj izbie, gdzie wiodli taniec, samotnego w kącie Podstolica, Podchodzi ku niemu i rzecze z cicha:

— Przebacz kochany Stanisławie, ale na twoją miłość tak utajoną; przypominam sobie przysłowie: »W nocy próchno, niby świeci, ale ognia nie roznieci.« Czemu się do niéj nie zbliżysz? U kobiet śmiałość popłaca, samem patrzeniem podobno nic tu nie wymodlisz. Trzeba z nią przecież raz kiedyś pomówić.

— Ot przyznam ci się, że strach odejmuje nogi, jakby na nich cięży kajdany. Pewny jestem, że byle odezwać się, to da od kosza. Ty jeden, mógłbyś stanąć mi tu w pomoc; ty, jak uważam od dawna, masz tu wolny przystęp: wszystkie trzy, to jest obie rodzone i trzecia stryjeczna pani Wojciechowa, oswojone z tobą. Powiodłoby się tobie nie znacznie wybadać bądź obie mężatki, bądź nawet samą pannę, czy mnie zbiedzonemu niepewnością, wolno mieć jakąś otuchę. Ale szczerze mówiąc, i o to prosić boję się, abyś mi smutku nie naniósł. Z tém wszystkiém, jeśli okazja będzie po temu, rzuć jakie słówko, a co która powie....

W tém zawołano: »Zdrowie dam!« I tuż hajduk z tacą podaje kielichy z węgrzynem. Ojciec mój ścisnął rękę Podstolica i szepnął:

— Miéj w Bogu nadzieję; ja szczerém sercem usłużę.

Odchodzi od Podstolica, dopełnia ceremonję wiwatowych ukłonów matronom i pannom, a widząc, że Cześnikówna tylko co po drabancie usiadła; podchmielony, z napoczętym kielichem w ręku, zajął próżne przy niéj miejsce i rzecze jéj:

— Uciekać muszę od kochanego pana Podstolica, choć mu serdecznie sprzyjam, bo jakiś okrutny smutek trapi go nad wyrażenie; a smutek, to jak morowa zaraza, najłatwiéj przylgnie do człowieka. Otóż aby w tak miléj kompanji uchronić się od tego napadu, miem szukać prezerwatywy przy asińce.—I cmok ją w rękę.

— Przebacz pan — ozwała się Cześnikowa. — ale

trochę dziwnym wydaje się ten smutek, kiedy wszyscy bawią się wesoło. Przecież pochlebiamy sobie, że dom stryjaszka, nie dał do tego powodu.

— Nie mówmy o tém; ale czy asińcce znane są piękne przymioty, charakter i serce pana Stanisława? Mnie to wolno świadczyć o tém, bom się przekonał jak on dla przyjaźni, gotów poświęcić się; jak dla dotkniętych biedą, wylany.

— Bardzo mu winszuję takiego jak pan przyjaciela.

— Obyś asińcka raczyła tę moję przyjaźń dla niego, podzielać ze mną!— Tu z kielichem, ugina kolano, w rękę ją całuje i ciągnie daléj: — Racz panno Cześnikówno mieć wzgląd na jego skromne o sobie rozumienie, i stąd jedynie tajone westchnienia dla niéj! A tego, co waży się wstawiać za nim, racz zachować w łaskawéj pamięci i sercu!

— Wzgląd na tamte, będzie tylko wdzięczność; a o drugiém żądaniu..... najmiléj mi jest pamiętać.

— Więc nie dla niego, ale dla siebie szczęście tu znachodzę?

— Jeśli pan tak oceniasz mój szacunek, bardzo się tém chlubię.

— Panno Cześnikówno dobrodzijko, racz wyraźniéj stanowić o losie mego przyjaciela!

— Wyraźniéj?...— uśmiechając się pyta panna Ludwika; więc powiem otwarcie..... że choć panowie szczerze sobie sprzyjacie..... przecież on nie trafnie tą drogą uderza ....

— A więc ja winien, że asińcka nie raczysz być mu łaskawą?— Tu zarumienioną pannę wzięto do mazura, a ojciec mój, bez odpowiedzi na ostatnie zapytanie, okropnie zmieszany, wnet szuka Podstolica; znachodzi go w samotnéj przechadzce po dziedzińcu, i zdaje sprawę z dziewosłębstwa, przywodząc dosłownie całą powyższą rozmowę z panną. Przy szczerém opowiadaniu swojém, ani pomyślał o tak nazwanéj dzisiejszéj *jaźni*. Podstolic poprawił pasa, w milczeniu przez chwilę pokręcił wąsa, pokiwał głową, westchnął głęboko, a nakoniec rzuciwszy się w objęcie ojca mego, szepnął mu:

— Ja stąd cichutko wyjeżdżam natychmiast, i to na zawzdy. A ty mój drogi przyjacielu nie marnuj czasu: rad będę gdy tak zacna osoba, nie innemu komuś, lecz tobie się dostanie; bo też wyraźnie ciebie ma na myśli. Bądź zdrów i szczęśliwy!

Te wyrazy, choć w połowie otrzeźwić musiały ojca mego. Rozważywszy bowiem zalety panny, westchnął do Pana Boga, jak mi opowiadał, i w tejże chwili ułożył sobie plan dalszego procederu, nie uchybiając w niczém ówczesnéj przyzwoitości.

Górował na tych imieninach pan Miecznik, starszy nad innych wiekiem i poważaniem u ludzi. Wraca mój ojciec na pokoje, poprawia spadające wyloty u kontusza, i z wielką attencją prosi Miecznika na stronę, a jako znany mu nie tylko z osoby swojéj, ale i z uczciwego szlacheckiego rodu, i z licznych po Wołyniu stosunków familijnych, błaga o wstawienie się do pana Skarbnika, a to jeśli tylko wola, natychmiast. Stary Miecznik wcale nie pyta, czy kawaler mówił z Cześnikówną; bo chociaż swobodnie, w obliczu poważnych, czyniono grzeczności pannom, przecież gdy idzie o krok stanowczy, on pomniał to z dawnéj daty, że krewna, pupilla jak tu, podobnie jakby córka, religijnie poddawać się zwykła była wpływom i uwagom opiekuna.

Gospodarz, dostrzegł był kawalera z ugiętém kolanem przed swoją synowicą; ale znana mu była wesoła jego zalotność, a więc wziął to za pospolitą attencję. Jakoż po chwili tajnych z gospodarzem szeptów, Miecznik ozwał się niby przytłumionym głosem:

— Panie Chorążycu Wołyński! Asyndzi w osobie pana Skarbnika dobrodzieja, masz dla siebie uprzejmie życzliwego. Cóś tylko nie zewszystkiem dają tu kredyt, abyś na serjo myślał o swojém da Bóg postanowieniu.

W tém młodzież, co widziała kolegę w słodkiéj przy Ludwisi pogadance, a tu słyszy wyrazy Miecznika, nagle otacza gospodarza z pełnemi kielichami w ręku i razem huknie:

— Wiwat łaskawa życzliwość pana Skarbnika dobrodzieja dla Chorążyca!

Ojciec mój, jakby oniemiały, nie mogąc wyrzec i słowa, przyklęka przed skarbnikiem i całuje go w kolano. Ten go podnosi, a oczyma szuka synowicy; ale jéj w sali już nie ma.

— Oho!—śmiejąc się zawoła:—Ptaszek! niby pierzchnęła! niby gonić za nią potrzeba!

Mrugnął na małżonkę; a wnet młode dwie mężatki przywodzą Ludwisię, i z nią stają przed jéj stryjem. Zapłoniona, z oczyma w ziemię, z silnie bijącem sercem, jakoby ofiara posłuszeństwa, w milczeniu czeka panienka wyroku na swoje lat ośmnaście. A stryj poważnie głos zabrał.

— No, mościa panno, nie ma tu brata mego, a twojego ojca. Ale komuż nie wiadome każdej niewiasty przeznaczenie? Ogrodnik sadzi drzewko, szczepi, pielęgnuje i od burzy chroni, a potem, kto inny w zerwanym owocu smakuje. Pan Chorążyc objawił nam swój sentyment ku wacpannie, Ja z obowiązku zlanéj mi opieki i z affektu, jakiego doznawałaś w domu naszym, błogosławię cię. Niech Bóg Najwyższy, w którego ręku jest życie, losy i splendory ziemskie, utrzyma pomiędzy wami wzajemną miłość, wzajemne pobłażanie; a skoro pzzy swojéj submisji, odpowiadać sobie będziecie attencją za attencję, to przy Bożéj pomocy, znajdzie się i szczęście, którego z serca wam życzę. Chorążyca, na prawdę rzekłaś, trudno nienawidzić; a przeto waćpanna płakać nam nie będziesz, jeno chyba przez pamięć na nasze dla niéj przywiązanie.

Ludwisia już przy oczach podtrzymuje chustkę, a ktoś z boku wspomniał o pierścionkach. Wnet się one zjawiły na tacy. Tymczasem pani Skarbnikowa siedząca między matronami na kanapie, już podnosi przywiedzioną przez mężatki do jéj kolan synowicę, i błogosławiąc krzyżem św. w głowę ją całuje. Następnie kawaler upadłszy do nóg jejmości dobrodziejce, zwrócił się za panną do jej stryja dla dopełnienia w ślad za nią i u jego kolan rzewnéj ceremonji. Stryj zdjął u odźwierka kropidło, poświęcił wodą święconą pierścienie, i głośno przeżegnawszy je, włożył obojgu na palce. Od przemowy pana Skarbnika aż dotąd, świątobliwa cichość tak objęła liczne zgromadzenie, że przelot muchy dałby się słyszyć. Tu hucznie wychylono zdrowie zaręczonych, i hurmem, na odgłos kapeli, wszyscy ruszyli polskiego. I oto młodzieniec lat dwudziestu kilku, co tu przed chwilą najszczerzéj wstawiał się u panny za przyjacielem; sam szczęśliwie, za wolą Boga, uwiązł na wiek cały w sercu drogiéj matki mojéj,

Nie marnowano czasu na długie przygotowanie do wesela, w miesiąc od zaręczyn, suta wyprawa już była gotową, i kościół św. rychło im błogosławił. Na intencję zgody małżeńskiéj, oboje ślubne pierścienie zawiesili w ofierze u ołtarza cudownéj N. Panny w Berdyczowie. A o ich pożyciu, to wam tylko powiem, że je za wzór miałem w téj z żoną moją błogiej niegdyś jedności i zgodzie, której wy dzieci moje, z maleństwa waszego byliście świadkami, aż do opłakanego matki waszej zgonu.

MOGIŁA POD ŁYSZCZEM.

(Wspomnienie familijne z r. 1825).

O trzy mile od Łucka, w jednéj z najpiękniejszych okolic Wołynia, leży wieś Łyszcze. Przed niedawnemi jeszcze czasy, niewielki schludny domek, widny z drogi, mile nęcił oko przejeżdżających, bielejąc z wyniosłéj góry, pośród cienistego ogrodu.— Rzadko też kto go pomijał; bo była to siedziba państwa chorąstwa T.... znanych w całéj okolicy ze szczerości, starodawnéj gościnności i wszystkich cnót poczciwych.

Oboje chorąstwo byli już ludzie wiekowi. Życie przeszło im prędko, mile, spokojnie; i zdawało się że nic nie braknie do ich cichego szczęścia. Obok dostatniéj zamożności i powszechnego szacunku współobywateli, cztery córki dorosłe, piękne, dobre i utalentowane, pocieszały i ożywiały ich starość, a jedyny syn Ignacy przymiotami serca i rozwinięciem umysłu, dawał rękojmię dalszéj chluby ich domu.

Ignaś ukończywszy nauki w Krzemieńcu, wstąpił do byłego wojska polskiego. — Zaszczytnie rozpoczynając żołnierski swój zawód, otrzymał stopień oficera i pozyskał serdeczną przyjaźń swoich kolegów. Posłuszny jednak rozkazom ojca, powrócił na Wołyń, żeby mu być pomocą i podporą w podeszłych latach. Powrót jego ucieszył nietylko rodziców i rodzinę, ale całą okolicę, bo śmiało powiedzieć można, że był on kochankiem całéj prowincji. Wszyscy go znali przed wyjazdem do Warszawy, teraz poznali bliżéj i lepiéj, a tego było dosyć żeby go ukochać na zawsze. Bo chociaż nie był wcale uderzającéj piękności, ale miał ten szczęśliwy dar podobania się, który od pierwszego spotkania, przywiązuje i wzbudza ufność bez granic.

Nie chciał jednakże pan chorąży więzić syna przy sobie, owszem, chciał oddać mu lepszą część swego majątku, Łyszcze, a sam z córkami i żoną umyślił przenieść się do drugiéj wioski Botyna. Żeby zaś temu aktowi przydać więcéj uroczystości, a razem polecić raz jeszcze syna współobywatelom, wezwał na ucztę całe sąsiedztwo, wszystkich przyjaciół i krewnych, z najdalszych okolic.

Dobre to były jeszcze czasy! A gdy je człowiek pamięcią przebiega, żal serce ściśnie, i mimowolne westchnienie z piersi uleci. Mniéj wówczas znaliśmy obcych zwyczajów, zbytek uważał się za występek, a nie konieczną potrzebę, szczerość, pobratymstwo i uprzejmość, cechowały każdego dobrego szlachcica, bo egoizm, jak banita, nie miał miejsca między nami, a czaił się gdzieś w kąciku jak zbrodnia. To też mimo nieocenionych moralnych korzyści, w każdéj nawet zabawie był jakiś nieznany już dzisiaj urok. Młodzież wchodziła w życie ochoczo i wesoło, bo pokrzepiał ją szacunek i poważanie dla starszych; czystość zaś obyczajów, nie trapiąc ciała i nie brudząc myśli, uszlachetniała każdy postępek, krok każdy. Dzisiaj, po tym śnie pięknym na jawie, zostało mi tylko wspomnienie, ale wspomnienie bolesne! — Trzeci dziesiątek lat dobiega od téj pory, a zaczarowany krąg mojéj przeszłości, tak żywo, wyraźnie stoi przed memi oczyma, jakby tylko noc krótka dzieliła mnie od tych dalekich dni lepszego życia!

* * *

Rozrzewniający był widok przenosin państwa chorąstwa do Botyna i poprzedzającéj uczty w Łyszczu. Cała rodzina, sąsiedztwo i licznie zebrani przyjaciele, składali jakby jedno familijne koło. — Przeszło sto osób napełniło szlachecki domek, a nikomu nie było ciasno i nie zabrakłoby miejsca dla więcéj, bo za słowem: „gość w domu, Bóg w domu" uprzątał się kącik dla przybywającego. Zastawiono długie stoły do obiadu, nie gnące się pod ciężarem sreber, kryształów i sewrskiéj porcelany, ale strojne białym domowéj roboty obrusem. Zamiast sztrasburskich pasztetów i marsylskich likworów, przysmaki krajowéj kuchni, na jakie zamożność szlachecka zdobyć się mogła, zastawione były obficie dla gości. A z napojów jeden węgrzyn, stanął przy butlach starego miodu i pieniącego piwa. — Przed dworem zaś, przy odemkniętych oknach, gromada kmiotkow całe zaległa podwórze, mając dostarczane sobie pod dostatkiem dobrze przyrządzone jadło i napój.

Pan chorąży był obecny wszędzie, pamiętał o wszystkiem i o wszystkich, i jednakowo dla wszystkich był serdecznie uprzejmy. Pięknie też wyglądał ożywiony uroczystością chwili! Ozdobny strój starodawny, w którym się zawsze nosił, dodawał powagi jego wzniosłéj postawie, niepochylonéj pod ósmym krzyżykiem, i tylko srebrny fręzel włosów, spadający na gładkie, wypogodzone czoło, był znamieniem upływającego lat strumienia.

Kielichy obchodziły rzęsisto w koléj, a było tych kolei kilkadziesiąt. Po kolei nadszedł obyczajowy toast: „kochajmy się!" Muzyka zabrzmiała starą śpiewkę:

> Wypił, wypił, nic nie zostawił,
> Bodajże go Bóg pobłogosławił.

Wtem kredencerz na znak chorążego, wniósł ogromnéj wielkości, ośmiogranny, kryształowy puhar, z misternem rznięciem, osadzony na niskiéj nóżce. Na jednéj stronie były wyryte litery B. T. a na drugiéj: *in vino veritas*. Każdy z ciekawością oglądał ten zabytek starożytności, a gdy obszedłszy koło, wrócił do gospodarza, kazał go napełnić węgrzynem, (a pochłonął półtory butelki) i powstawszy odezwał się w te słowa:

— Pozwólcie *Moci dobrodziejstwo* sąsiedzi, krewni i przyjaciele, i wy poczciwi włościanie! abym spełnił zdrowie mego syna Ignasia, na którym polega szczęście moje i chluba mojego domu. Pięćdziesiąt lat mija, jak ojciec mój oddał mi w spuściźnie, ot ten kawałek ziemi. Co wziąłem od twego dziada a mego ojca, w całości tobie oddaję. Pamiętaj synu! że dni moje są policzone, a gdy mię Bóg raczy przyjąć do swojéj chwały, pamiętaj żebyś zastąpił miejsce moje dla twojéj rodziny. Pod utratą zaś błogosławieństwa przykazuję ci ojcowską pieczołowitość dla włościan; bądź dla nich ojcem, opiekunem! A was poczciwi włościanie! żegnam, zlewając na was błogosławieństwo Boże! Zostawiam wam na mojem miejscu, nie pana, a ojca. *(d. n.)*

TEATR ROZMAITO. Jutro: *Stary jegomość* (p. Żółkowski po długiéj słabości przedstawi główną rolę). *Pani kasztelanowa. Floryna.*

Dziś rano stopni ciepła 16, wczoraj w południe 21. Wysokość wody na Wiśle stóp 4 cali 10.

W Drukarni J. Unger. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 1 [13] Sierpnia 1855 roku. — Starszy Cenzor F. Sobieszczański.